

JA TU ŻYJĘ, MAM PRZYJACIÓŁ I NIE

„SZTUKMISTRZA Z LUBLINA” W JEGO REŻYSERII GRANO WE WROCŁAWIU PRZEZ SZEŚĆ LAT 500 RAZY. TERAZ WSPÓŁPRACUJE PRZY INSCENIZACJI TEGO SAMEGO DZIEŁA W TEATRZE JARACZA W OLSZTYNIE. JEST KONSULTANTEM OD KULTURY JIDYSZ.

Z Janem Szurmiejem, reżyserem i choreografem, rozmawia Ewa Mazgal



— Kim jest sztukmistrz z Lublina? Artystą czy świętym?
— Jest wędrowcem, który poszukuje swojej tożsamości. Jako artysta ma wielkie marzenia. Odchodzi od religii, wadzi się z Bogiem, ale potem do niego powraca, mimo że grzeszył i błędził.
— Co w teatrze będzie z magii tej barokowej nieco powieści Isaaca Bashevisa Singera?
— Trzeba o to zapytać Janusza Kijowskiego. Ja po dziewięciu realizacjach „Sztukmistrza...”, nie tylko w Polsce, zdobyłem trzy prestiżowe nagrody. Mogę się pochwalić?
— Proszę bardzo.
— Pierwsza to Złota Statuetka Fredry za najlepszy spektakl po prapremierze polskiej w 1986 roku we Wrocławiu. Potem ten spektakl dostał Grand Prix na festiwalu w Geottingen. Siedem lat temu powtórzyłem tę inscenizację w Tel Awiwie w języku, w jakim pisał Singer. I to była dla mnie najważniejsza inscenizacja. Zrealizowałem ją w Yiddish Spiel Theatre i dostałem za to izraelskiego Oscara za najlepszy spektakl. Wspomnę też „Sztukmistrza...” wyreżyserowanego w warszawskim teatrze Rampa. Ten spektakl reprezentował polski teatr podczas Roku Kultury Polskiej we Francji. Pokazywaliśmy „Sztukmistrza...” w Tuluzie.
— Zna go pan na wylot.
— Ale każda inscenizacja jest inna ze względu na energię zespołu czy nowe pomysły inscenizacyjne. Myślę jednak, że te dziewięć inscenizacji można by wpisać do Księgi rekordów Guinnessa, chociaż oczywiście nie jestem tylko specjalistą od „Sztukmistrza...”. Byłem przymuszany poniekąd przez dyrektorów teatrów, bo oni wiedzieli, że to jest piękny spektakl i wzbudza duże emocje u publiczności, która zawsze przychodzi. Wrocławski spektakl zagrało w ciągu sześciu lat 500 razy! Proszę sobie to przeliczyć na repertuar — wychodzi w ciągu sezonu około 80 spektakli.
— W Olsztynie występuje pan jednak nie w roli reżysera, ale choreografa.
— Stwierdziłem, że wy-



Fot. Przemysław Getka

Jan Szurmiej: W Polsce zawsze była ciekawość żydowskiej kultury. I kiedy pojawiały się „Skrzypek na dachu” czy „Sztukmistrz...”,

starczy zajmowania się „Sztukmistrzem...”. Kiedy Janusz Kijowski zadzwonił do mnie (znamy się lata, kiedyś robiłem mu choreografię w filmie „Maskarada”), zaproponowałem, że go wspomogę swoją wiedzą o kulturze, obyczajowości, o języku jidysz. Kijowski wprowadził pewne korekty w scenariuszu, na które ma pozwolenie moje i Michała Komara, bo my jesteśmy autorami adaptacji. Będą też nowe aranżacje. Okazało się, że Maria i Marcin Rumińscy, którzy tym się zajmują, bardzo pięknie to robią w stylu bałkańsko-sefardyjskim. Wszystkie klimaty będą zachowane.

— Jasza Mazur to postać trochę podobna do pana. W pana życiu były takie przygody jak pantomima, aktorstwo, Teatr Żydowski, reżyseria, praca pedagogiczna, choreografia i dyktowanie w operetce.
— Operetce? Nie! Byłem jednocześnie dyrektorem dwóch teatrów. Objąłem operetkę wrocławską i zmieniłem jej formułę na teatr muzyczny. Ten teatr ma nazwę Capitol. Powróciłem do nazwy przedwojennej z dużymi tradycjami. Każdy teatr muzyczny musi mieć metaforę.
— To znaczy?
— Metaforę w swojej nazwie. Jak to brzmi Państwo-

wa Operetka Dolnośląska we Wrocławiu? A teatr muzyczny Capitol we Wrocławiu? Brzmi pięknie. Byłem też dyrektorem artystycznym w operetce warszawskiej, w której też zmieniałem formułę, nie uciekając od operetki. A od operetki nie uciekał ani Bergman, ani Fellini, który ją uwielbiał. Uważam, że teatr muzyczny musi być eklektyczny, czyli mieć wszystkie gatunki.
— Pochodzi pan z rodziny o ogromnej tradycji teatralnej i przez ojca, i przez mamę. A teraz tę tradycję kontynuuje pana córka, aktorka.
— To prawda.
— Ojciec, Szymon Szurmiej

(1923-2014), przez wiele lat był dyrektorem Teatru Żydowskiego w Warszawie, wyjątkowego nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Niektórzy mówili, że był to teatr trochę cepeliowski, ale on przechował coś niezwykle cennego: część kultury i języka, które znikły.
— Nazywanie go „cepeliowskim” jest nadużyciem. Tradycja jest potrzebna każdemu i wszędzie. Jeżeli teatr polski nie grałby klasyki i nie wracałby do niej, tak jak teatr światowy wraca do Szekspira, do Corneille’a, byłby w błędzie. Tradycja potraktowana w sposób szlachetny, bez chałtury, ma swoją ogromną wartość. I trzeba

OBCHODZĄ MNIE WYGOLONE ŁBY!



młodzi ludzie zaczynali odkrywać, że czegoś nam brakuje

ją zachowywać, dając jednocześnie możliwości młodym ludziom. Takim, którzy mają wyobraźnię, ale nie taką wyobraźnię, żeby na scenie zmienić (przepraszam!) brudnego pampersa. Chodzi mi o mądrą kontynuację.

A wracając do mojego ojca, trzeba pamiętać, że po 1968 roku Teatr Żydowski znalazł się w trudnej sytuacji. Bardzo poważna część aktorów wyjechała. Ida Kamińska (1899-1980, dyrektorka teatru i aktorka nominowana do Oscara — red.) też. I myśłano wówczas, że ten teatr po prostu umrze.

— Tym bardziej że wyjechała też znaczna część jego publiczności.

— Oczywiście. Żeby zachować tożsamość tego teatru, który ma tak duże tradycje, ojciec wpadł na genialny pomysł. Ponieważ brakowało żydowskich aktorów, otworzył studio, w którym mogli się uczyć młodzi, utalentowani ludzie pochodzenia żydowskiego i nieżydowskiego. Ale obowiązkiem wszystkich była nauka języka jidysz oraz przejście programu szkoły teatralnej. W studium uczyli m.in. Ryszarda Hanin i Władysław Hańcza. Boże, kto tam nie wykładał! Jidysz i hebrajskiego uczył profesor Michał Friedman, uczył też kultury i dramatu żydowskiego. Z tego zaczynu powstał nowy teatr, bo na sce-

JAN SZURMIEJ

Urodził się w 1946 roku; aktor, reżyser, inscenizator i choreograf, znawca kultury żydowskiej. Ma w swoim dorobku ponad 100 realizacji reżyserskich, a także wiele ról filmowych i telewizyjnych. Wystąpił m.in. w „Królewskich snach”, „Blisko, coraz bliżej” i „Austerii”. Jest ojcem aktorki Joanny Szurmiej-Rączyńskiej i Jakuba Szurmieja.

— Czy to właśnie nie „Skrzypek...” był detonatorem, który wzbudził w Polsce wielkie zainteresowanie kulturą żydowską, nawet modę?

— Na pewno tak. Temat żydowski po 1968 roku był w Polsce tabu, które oczywiście było czasem łamane. Bo przecież wychodziły książki, choć nie tyle, co teraz. W „Skrzypku...” choreografię miał robić Rosjanin z Moskwy. Jego nie wypuścili, więc Gruza poprosił mnie. „Skrzypek...” to był strzał w dziesiątkę i otworzył mi drogę do kariery reżyserskiej.

— Chciałam wrócić do tej mody. W Polsce mamy wiele festiwali kultury żydowskiej, nawet w Olsztynie. Z drugiej strony wiemy, jak jest. Polacy wcale nie są społeczeństwem szczególnie otwartym, a wątki antysemityczne są obecne w dyskursie publicznym i prywatnych rozmowach. Jak pan tę sprzeczność tłumaczy?

— Ksenofobia występuje wszędzie na świecie. W Polsce jest masa mądrych ludzi, którzy szanują tożsamość kulturową innych, którzy doskonale wiedzą o wkładzie obywateli polskich żydowskiego pochodzenia do kultury polskiej. Gdybym zaczął wymieniać...

— Byłaby to cała encyklopedia.

— Rok temu przyjechała ze Szwecji kobieta, która chciała nakręcić film dokumentalny z tezą, że społeczeństwo polskie jest właśnie antysemityczne, ortodoksyjne i zamknięte. Tłumaczyłem jej, że nie wszyscy. Powiedziałem: „Jeżeli ty chcesz, żebym walił w tarabany i dał w trąby, to ci się nie uda. Ja w tym kraju żyję, choć mogłem wyjechać za granicę, mam masę przyjaciół, czuję sympatię i życzliwość. A co mnie obchodzą ci, którzy mają wygolone łby?!”. — Niektórzy nie mają i są profesorami.

— Na to trzeba zwracać uwagę i nie pozwalać uśpionej hydrze, żeby się obudziła i znowu zjadła Europę. Wielu Polaków nie lubi Rosjan. Ja ich lubię za kulturę i życzliwość. Możemy nie lubić Rosjan, jeżeli są złymi ludźmi, tak samo jak złych Polaków czy Żydów.

— Kiedy reżyserował pan w Studium Aktorskim 5 lat temu „Dzieci Hioba”, powiedział pan, że już wtedy Janusz Korczak był dla młodych ludzi mglistą postacią. A „Sztukmistrz...” przywołał na scenę jeszcze dawniejszy świat, świat sztetlu, małego miasteczka.

— Yidishkeit to nie tylko sztetl, nie tylko religijni Żydzi. To też wyjątkowa kultura muzyczna czy malarska, to też tradycje naukowe. To są wyższe piętra, nie sztetle. Kiedy wracamy do korzeni, nie znaczy to, że jest to powrót do czegoś gorszego czy niższego. Myślę, że mimo wieloletniego milczenia w Polsce zawsze była ciekawość żydowskiej kultury. I kiedy pojawiały się takie rodzinne jak „Skrzypek na dachu”, „Sztukmistrz z Lublina”, „Dybuk” Andrzeja Wajdy czy „Słuchaj, Izraelu” Jerzego Jarockiego, młodzi ludzie zaczynali odkrywać, że czegoś nam brakuje. Że ktoś nam ukradł tę książkę!

— Ukradł i nie oddał.

— Ale możemy ją znaleźć na innej półce w małej bibliotece!

— Czy sztuka nie jest jedyną metodą, żeby ten ukradziony świat ocalić?

— Sztuka i literatura. To nie tylko Singer, ale też na przykład Hanocho Levin (zmarł w 1999 r.), na którego sztuki jest boom w polskim teatrze...

— U nas można oglądać jego „Dziwkę z Ohio”.

— Dawno takiego zjawiska nie było, żeby wszyscy ukończyli jednego autora! Hanocho Levin przez ojca wywodzi się z Polski. Pisząc w Izraelu, wraca do tego, ale porusza współczesne tematy. Jest też cały nurt w literaturze poświęcony odkrywaniu przez młodych ludzi swoich żydowskich korzeni. Więc to, o czym mówimy, nie jest kulturą Etrusków. Ona wciąż żyje i się rozwija.

— Jak jest, pana zdaniem, przestanie „Sztukmistrza z Lublina”?

— Jasza Mazur uosabia pragnienie zrealizowania marzeń i poszukiwania ponadczasowych wartości filozoficznie —... nie do końca religijnych. Jasza chce wielkiego świata i chce pofrunąć na wielkich skrzydłach ponad dachami Londynu i Nowego Jorku.



WIELU POLAKÓW NIE LUBI ROSJAN. JA ICH LUBIĘ ZA KULTURĘ I ŻYCZLIWOŚĆ. MOŻEMY NIE LUBIĆ ROSJAN, JEŻELI SĄ ZŁYMI LUDŹMI, TAK SAMO JAK ZŁYCH POLAKÓW CZY ŻYDÓW.